Nr. 35. We Lwowie dnia 27. sierpnia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z cyklu »Polonia irredenta«.

PODZIEMIA.

VII.

Wieczny ogień.

Przycichły w chodnikach złowróżbne wód ryki,
Stąpamy śród głuchej pomroki,
I tylko niekiedy, jak błędne ogniki,
Zabłysną z daleka mdłe lampek płomyki
I echem zadudnią opoki.

Znój oczy zalewa, tam z czarnej pieczary
Duszący żar bije od ściany,
Za ścianą się palą wieczyste pożary,
Tam leżą poległe, spalone ofiary,
Co biegły tu gasić wulkany! —

Pomnicie, górnicy, tę walkę z żywiołem,
Gdy w koło szalały wybuchy?
Trzy mury wstawały pod żarem, popiołem,
Trzy ściany wstawały i rosły tam kołem,
Tamując płomieni podmuchy!

Gdy padły szeregi, zduszone przy murze,
W lot nowe szeregi nadbiegły!
Walczyły w płomieni duszącej purpurze
I piersią swą szczerby słoniły na murze,
Aż ścianą żywioły oblekły!

Dziś stygną pożary, ciemnieją jasności,
Ha, kiedyś zwalimy te mury,
Przedzierać się będziem przez gęste ciemności,
A może tam nogą potrącim o kości,
Grzebane w mogile ponurej....

Wtargniemy tam znowu... Czy szukać ciał druhów?
Ha, nie czas na łzawe ofiary!
My szukać pójdziemy tam skarbów, złych duchów,
Aż znowu nas spędzą epoki wybuchów
I nowe zaświecą pożary!

Tam w górze, pod słońcem, na ziemi, na świecie,
Bezczynni obrońcy narodu!
Gałązka pokoju wypuszcza wam kwiecie,
Ha, śpijcie! Tam pokój, tam pokój na świecie!
Tam upiór nie straszy was głodu!...

Narodu obrońcy! Czy znacie wy ludzi,
Co karmią ów naród i poją?
Czy znacie ten motłoch, co wiecznie się trudzi?
Te boje podziemne, upiory tych ludzi
Co na dnie kopalni się roją?...

Kto głosi ich tryumf? Kto płacze ich klęski?
Kto ofiar tych pomni nazwiska? —
Precz żale!.. Nieznany tłum wiedzie bój męski,
Gdzieś w ziemi głęboko ponosi swe klęski...
Gdzieś w ziemi... nieznane mrowiska!...

VIII.

Katakumba.

Zdaleka od groźnych, przeciągłych wód ryków
Jest w węglu wykuta kaplica.
Tam Święta Barbara, patronka górników,
Pilnuje podziemia i strzeże chodników,
Tam wiecznie się pali gromnica.

Przed obraz patronki cień sunie ponury,
Przyklęka, skroń chyli na głazy,
I ręce błagalnie podnosi do góry...
»O święta patronko!« szept słychać ponury
I płyną modlitwy wyrazy.

»O święta patronko! u ciebie pociechy
Ksiądz kazał mi szukać w modlitwie!
Za żywot stargany, za ciężkie me grzechy:
O święta patronko, ty nie skąp pociechy,
Wszak górnik, jak żołnierz na bitwie!

Pół roku on słońca nie spyta, czy świeci!
W dół zjeżdża... czy wróci, ach, nie wie...
Tam w nędznej lepiance i żona i dzieci,
A on tu z latarką, jak zbrodniarz, w głąb leci
W wybuchów i dymów powiewie...

Patronko podziemia! Przed obraz twój święty
Ja krzywdy me niosę w pokorze...
Ksiądz uczył, że Chrystus na krzyżu rozpięty
Przebaczał.. Jam nie mógł!.. Ksiądz odparł: wyklęty!..
Patronko! Ty wiesz, co człek może!

O święta patronko, szafarko pociechy!
Ksiądz mówił, że mścić się nie wolno!
Za żywot stargany, za zbrodnie, za grzechy
O święta patronko! pociechy, pociechy!
Och, zakończ męczarnię mozolną!

Ksiądz mówił, że Bóg ich osądzi tam w niebie,
Nam tylko pokora, pokora...
Ksiądz szeptał, żem winien oskarżyć sam siebie...
O święta patronko! O, pytam ja ciebie!
Patrz!... Znowu krew cieknie z topora...

Ksiądz mówił: im wolno! Lud słucha słów klechy...
Ksiądz płatny, więc mówi: im wolno!...
Ty powiedz, ty naucz, co zbrodnie, co grzechy!
O święta patronko! Pociechy, pociechy!
Och, powiedz, co wolno, jak wolno...!«

Szept płynie ponuro, odbija od skały
I trupio lśni płomień gromnicy.
A wdali grzmią głucho w chodnikach wystrzały,
Drży w koło posępnie podziemia świat cały
I światło wiatr gasi w kaplicy...

Przypiski.

VII. Wieczny ogień.

Od zwrotki 3—6 włącznie wiernie powtórzone opowiadanie pewnego sztygara.

Kto głosi ich tryumf, kto płacze ich klęski...

Armja robotnicza niemiecka na czterdzieści kilka miljonów ludności liczyła w r. 1890 5 miljonów ludzi. Rannych było 200.000, zabitych 6047, kalek 2708, pozostało wdów 11.337, dzieci 1348. Jedno z pism naszych, omawiając tę kwestję, powiada: »Pole pokojowej jednorocznej pracy przemysłowej w Niemczech, przedstawia się, jak straszliwe pobojowisko, pełne jęków i krwi ludzkiej. Setki tysięcy rannych, tysiące zabitych i dziesiątki tysięcy kalek, wdów i sierót, bez środków do życia, oto jednoroczny dorobek pracy przemysłowej. Wobec tych wyników »pokojowej« pracy, znika groza najstraszliwszych katastrof i najkrwawszych bitew«. (W powyższym obrachunku nieuwzględniono wyników chorób zawodowych).

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894. (Ciąg dalszy.)

Kiedy prawdziwi obrońcy Narodu ginęli masami z takim opłakanym skutkiem, przyjaciele autora »Traugutta« a może on sam — urządzali najspokojniej w Warszawie swoje interesa i interesiki, a właściwie, jak się wkrótce pokazało, interesa polskiej, niepoprawnej szlachetczyzny i obywatela księcia Czartoryskiego, jak się J. M. Król i W. Książę Władysław V. czy VII. wówczas chwilowo tytułował. Po upadku Langiewicza i zabójstwie Bobrowskiego wszyscy Jurgenszczycy: Ruprecht, Gołemberski, Przybylski, Dubiecki i Sp. wśliznęli się cichaczem do Rządu Narodowego, korzystając z zupełnego braku zasad takiego np. Awejdy, i z łatwowierności, a głównie z nabożności Gillera; bo ci panowie, którzy wierzą, może być, w papieża, ale w Pana Boga bardzo mało, umieją w imię religji bardzo zręcznie opętać takich Gillerów, Krajewskich, Traugutów i zapewnić im raj wieczny, sobie zaś doczesne akcydensa. Odsełam czytelnika do opisów w T. IV. tych rozmaitych intryg i intryżek, które się zaczęły w łonie kierowników organizacji z dwóch głównych powodów, podług których ci panowie zawsze działają: siły brutalnej, prawa pięści i — pieniędzy. Pierwsza odznaczyła się dyplomatyczną interwencją mocarstw (zesz. I. 85. 190), druga zabraniem dwudziestu miljonów złotych polskich ze skarbu królestwa przez Waszkowskiego (zesz. I. 190—194. II. 54).

Z pamiętników p. B. przekonać się można, jak ci, którzy mieli zastąpić rozstrzelanych: Padlewskiego i Sierakowskiego, uwięzionego Dąbrowskiego, zamordowanego Bobrowskiego, poległych: Godlewskiego, Wasilewskiego, Wereszczyńskiego, Rolskiego, powieszonego Frankowskiego, zaczęli się wypierać, gwoli prawdopodobnej (!) interwencji mocarstw, zasad powstania styczniowego i puszczać się w wielką dyplomację. »Odtąd — mówi p. B. (str. 195) — znać pewnego rodzaju oziębienie w prasie zagranicznej, coraz częściej dają się słyszeć głosy, że powstanie w Polsce nie jest powstaniem narodowem, ale

klerykalno-szlacheckiem, co silnie podtrzymuje dziennikarstwo moskiewskie«. Hercen, który nam dotąd gwałtownie pomagał, stracił w Rosji całą popularność, a pieniądze Waszkowskiego, oddane przez niebacznego Laskowskiego w ręce Ruprechta i — mówią — Majewskiego (II. 54), ostatecznie zmarnowane, ażeby nie zaszkodzić Towarzystwu kredytowemu, posłużyły jedynie wywyższeniu Karola Majewskiego, owego ulubionego »męża stanu« autora »Traugutta« (II. 54, 55), owego renegata wszystkich stronnictw, a w końcu sprawy narodowej, założyciela Rządu czerwcowego.

Podług samego autora (II. 55) ów Rząd »był najdłużej trwającym ze wszystkich tamtoczesnych składów Rządu zbiorowego i najlepiej funkcjonującym«, działał »z zadziwiającą systematycznością, porządkiem, jak gdyby stolica nie była zajętą przez nieprzyjaciela« (II. 14. Berg III. 201—220, szczegółowy szematyzm Rządu czerwcowego podług Awejdy). Po polsku mówiąc, ci panowie pod opieką sztyletników: Lempkiego, Landowskiego i Karłowicza, bawili się w czystą biurokrację i zmarnowali nietylko skarb narodowy (ażeby szlacheckim poręczycielom listów zastawnych nie szkodzić), ale całe siły powstańcze w trzech zaborach, wówczas właśnie, kiedy Moskwa była w najkrytyczniejszem położeniu. Działo się to systematycznie i bardzo porządnie, pod LW. taką a taką, referenta takiego a takiego, pod zagranicznem kierownictwem ks. Władysława Czartoryskiego i ks. Hieronima Napoleona (Plonplona II. 70, 71) — notabene znanego ateusza — a pod Warszawskiem przewodnictwem dwóch jawnych zdrajców, przedawców całej organizacji, autorów historji Berga, bo oni mu wszystkich wskazówek i dowodów dostarczyli (Berg II. i III. *passim*) eks-białego, eks-czerwonego Oskara Awejdy i eks-mierosławszczyka, eks zamojszczyka, eks-jurgenszczyka, eks-sąsiada mojego i wyzyskiwacza w Cytadeli, Karola Majewskiego.

Ta ostatnia figura, która wywarła z samego początku na całe powstanie wpływ nader szkodliwy, należy do wyjątkowych — przynajmniej u nas w Polsce. Już w 1859 i 1860 r. Majewski był głównym ajentem Mierosławskiego (który się jeszcze wówczas ze wszystkimi nie pokłócił) i pod jego przewodnictwem, przy pomocy Kurzyny, urządzały się wszystkie manifestacje — tak jednak, aby wszyscy działający: Jankowski Narcyz, Kurzyna, Asnyk, Denel dostali się do kozy albo musieli uciekać za granicę, a sam p. Karol ocalał. Po niespodziewanym wybuchu 27 lutego 1861 r. i zrejterowaniu przestraszonych i prawie bezsilnych Moskali, p. Karol przeszedł od razu do obozu przeciwnego, który tak skutecznie zahamował na chwilę ruch cały za pomocą delegacji i straży obywatelskiej; zdawało się, że praca organiczna będzie górą, i p. Karol, myślący tylko o własnej korzyści, zręczny i żadnymi skrupułami nie krępowany, dostał się do organizacji białej, której był głównym kierownikiem przez półtora roku, nie zrywając jednak bynajmniej (szczyt zręczności) z dawnymi czerwonymi kolegami. Mógł on takim sposobem hamować do woli, przy pomocy maleńkich nadużywań zaufania, a myśmy nawet nie wiedzieli, jaką on rolę odgrywał; wszyscy wędrowali na Sybir, do Cytadeli, na szubienicę, a p. Karol drwił sobie ze wszystkiego. Całą kampanję popsuł mu jednak Wielopolski, ów buhaj, depcący niemiłosiernie najmisterniejsze kombinacje białych: Markiz wygnał Zamojskiego, a Majewskiego, po bezskutecznej konferencji, wpakował do Cytadeli. Twierdzę tak stanowczo, chociaż p. B. dzisiejszy obrońca tego, na którego ongi pomagał zamachy urządzać, oburza się na tych, którzy J. O. margrabiego śmią o to posądzać: »Złość i głupota posunęły się tak daleko, że o aresztowanie obwiniono Naczelnika Rządu« (I. 181).

Tam przesiedział Majewski cały początek powstania, do maja 1863 r. i tam się z nim poznałem — przez ścianę. Ile on potrafił ze mnie wypompować, tego nie wiem, ale skończyło się na tem, że kiedy mię w maju wyekspedjowano na szubienicę, a wspólnik Majewskiego, Jurgens, był już skazany na śmierć powolną w lochu, p. Karol, uzbrojony do nowej kampanji, wyszedł z dziesiątego pawilionu i trafił wprost — do Rządu Narodowego. Nigdy sobie tego nie przebaczę, że pomogłem mu do tego swojemi wskazówkami, bo pomimo całej swej ostrożności musiałem mu trochę zaufać, znając go jako agitatora i nie mając pojęcia o jego dwuznaczności. Tak samo złapał się Laskowski, który podług autora »Traugutta« (II. 54) oświadczył, »że temu składowi Rządu odda swe pieniądze, w którym zasiadać będzie Karol Majewski«. I szanowny p. Karol pod potrójną opieką dawnych czerwonych działań, późniejszych białych i zagranicznych sprzymierzeńców i skarbowych miljonów, łaskawie wypuszczony przez Moskali, dostał się do steru powstania.

Rząd majowy, t. j. chwilowy zwrót do początkowego kierunku, utrzymać się nie mógł wówczas, a sam autor »Traugutta« najnaiwniej nam wyjaśnia przyczynę tego niepowodzenia. »Ilekroć — mówi — ludzie bardziej rewolucyjni garnęli się do steru, odsuwało się od nich instynktowo wszystko, co było poważniejszem, światlejszem, doświadczeńszem, i zasobniejszem w środki materjalne. Wytwarzała się więc pozycja dziwna: żywioły umiarkowane narażone były nieustannie przez opozycję na wstrząsania gruntu, na którym stały, żywioły zaś bardziej rewolucyjne, gdy ujmowały ster, nie znajdywały nigdy i nigdzie poparcia« (II. 53). To jest, że biali przyłączyli się do organizacji ażeby bruździć, odmawiać posłuszeństwa, osobliwie co do zniesienia pańszczyzny i oszukiwać nas obietnicami, których wypełniać nie myśleli — taka to anarchja jest ideałem Tomu IV. »Ma-

terjałów«, i nie dziw: w naszych oczach przeprowadza się ona najskuteczniej w wiedeńskiem »Kole polskiem«.

Pan Karol Majewski, jako człowiek zręczny, umiał jednak wszystko z początku zamazać powoływaniem wszystkich sił do działania »bez względu na barwę polityczną jednostek« (II. 57). Zamianował Mierosławskiego organizatorem dla zaślepienia czerwonych (Dokumenty do dziejów Organizacji jeneralnej: str. 7 od 2 lipca 1863 i str. 45 N. 1625 od 16 sierpnia t. r.) a zarazem obywatela księcia Czartoryskiego pełnomocnikiem za granicą.

Za długo byłoby opisywać działania Rządu czerwcowego, zwrócę jedynie uwagę na to, że autor »Traugutta« ani słowa nie mówi o jego terorystycznej działalności, zaprzecza jej nawet (II. 73), kiedy u Berga mamy szczegółowy wykaz zasztyletowanych szpiegów i innych osobistości, właśnie w czerwcu, lipcu i sierpniu 1863 r. (Berg III. 199—201) i całą organizację żandarmów Landowskiego (tamże 219); dodam, że trzeba czytać, z jakim zachwytem szanowny autor opisuje, jak ten sam Landowski aresztował z rozkazu Awejdy, Majewskiego i Janowskiego, nie Moskali i zdrajców, broń Boże, ale przeklętych powstańców (II. 39) i jak żałuje, »że tego gniazda domowego niepokoju nie zgnieciono i nie zdeptano«. Jasno, dlaczego autor »Traugutta« milczy o sztyletowaniu, a przeciwnie daje wszędzie do zrozumienia, że tylko czerwoni »anarchiści«, »szumowiny« zajmowały się takiemi sprawami, a nie, jak było w rzeczywistości, Przybylscy, Dubieccy *et Comp.*, sami umiarkowani. Zaznaczę tu także, że dla wzmocnienia żywiołu reakcyjnego w Rządzie wprowadzono do niego, jako stałych członków, rzekomych przedstawicieli Litwy i Rusi, Wacława Przybylskiego i Marjana Dubieckiego, którzy po upadku powstania w zabranym kraju (na Rusi prawie wcale go nie było), byli prawdziwymi ministrami *in partibus*, a reprezentowali tylko interesa tamtejszej szlachty, tak od wieków dla nas szkodliwej.

Dość, że ów idealny rząd zmarnował w trzy miesiące wszystko, co zrobili jego poprzednicy. Wszelkiemi siłami powstrzymał pospolite ruszenie (Deskur. 62), odwrócił od nas sympatję Europy, oddał Litwę na pastwę tygrysa Murawiowa, bo zupełnie ją zaniedbał, i skończył abdykacją przy pierwszej pogróżce zniecierpliwionych ostatków dawnej, właściwej organizacji. Z dwóch jego koryfeuszów pierwszy, Oskar Awejde, został aresztowany przypadkiem w Wilnie i zdemaskowany głównie z powodu własnego tchórzowstwa, bo sobie dla większego bezpieczeństwa zafarbował włosy, które mu w więzieniu odrosły i zdradziły go; wkrótce też zaczął wydawać kolegów i takim sposobem uniemożliwił dalsze prowadzenie walki. Drugi matador, Karol Majewski, uratowany od zasłużonej śmierci przez Stanisława Frankowskiego, siedział sobie spokojnie w Warszawie, wymawiając się od dalszego udziału, nawet przy białych rządach Trauguta, i został wywieziony — jak sądzą, na własne żądanie — do bliskich rosyjskich gubernji, gdzie wkrótce potwierdził zupełnie zeznania Awejdy, jak pisze Berg, i jak słyszałem z jego własnych ust (II. 118, 119. Berg II. III. *passim*). Rozumie się, że kiedy inni, daleko więcej skompromitowani, skończyli życie na szubienicy lub w katordze, ci dwaj ulubieńcy patrjotycznego autora »Traugutta« prawie wcale ukarani nie byli i cieszą się po dziś dzień najlepszem zdrowiem, ku większemu zbudowaniu tych szanownych mężów, którzy im spółczują i prawdopodobnie naśladować ich gotowi..

Rząd, który spróbował naprawić wszystkie błędy i występki tych renegatów, już nie mógł podołać coraz zwiększającym się trudnościom, głównie z powodu niekarności nie czerwonych, lecz białych, którą sam autor »Traugutta« zaznacza w wielu miejscach (II. 53, 65, 109. — Struś. Ludzie i Wypadki: organizacja Galicyjska).

Jak już wyżej pisałem, Narzymski, Asnyk, Chmieliński, Frankowski, Piotrowski byli dawno ścigani przez wroga i samo przebywanie ich w Warszawie było prawie niemożliwem; wszyscy ich przeciwnicy, Przybylski, Janowski, Pieńkowski, Dubiecki byli zupełnie legalni, a jednak czmychnęli (przynajmniej trzej pierwsi) przy pierwszem niebezpieczeństwie (II. 115, 117, 137) — cóż dopiero groziło Chmielińskiemu i Frankowskiemu, od roku przeszło poszukiwanym? Zamach na Berga nie udał się i wówczas wieczni członkowie, Janowski i inni, oddali władzę w ręce Traugutta, któremu nikt się już sprzeciwić nie mógł; ostatni protestujący (II. 79) Piotrowski (Pepłowski), który uwziął się Warszawy nie opuścić, powisł wkrótce na stoku Aleksandrowskiej cytadeli.

Bronisław Szwarce.

Dok. n.

Obrazki warszawskie.

»Servi siam, si, ma servi ognor frementi!«
Alfieri.

W domu — gdzie cyrkuł.

Od wczoraj sprowadziliśmy się do domu, w którym władza obrała sobie siedlisko, do domu, w którym znajduje się cyrkuł.

— Boże, cóż to za wrzask?!

— Ucz się, chłopcze, dalej, nie zważaj na to, — to pewno pijaków ulicznych prowadzą do kozy. Cóżeś tak pobladł? Zdaje ci się, że to biją kogoś... Tak, może masz słuszność. Słychać

uderzenia i za każdem uderzeniem krzyk się podnosi okropny.

— To złodziei biją — objaśnia służąca.

— Krzyki przechodzą w ryk chrapliwy, szarpiący każdym nerwem twoim i nie ustają, i nie ustają. Boże! Tam ból coraz większy... tam kat się nie nuży... Boże, Boże! To nie człowiek, to zwierze wyje.

— Czy oni ich chcą zabić? — pytasz — Już dosyć, już dosyć! — powtarzasz.

— Ha, wnuczę hetmańskie! To potomki opryczników uczą moralności lud polski! Słyszysz, jak ten człowiek rzęży? Jeszcze raz ryk z siebie wyrzucił nieludzki i ucichł. A ty nic?! A ty nic?! Ręce zaciskasz, aż ci palce trzeszczą. Chcesz lecieć na dół? I pocóż ty tam pójdziesz sam? Ha, wstydem spłonąłeś! Słuchaj: do kogoś drugiego zabrali się teraz. Jaki cienki głos...! To ktoś młody bardzo, dziecko chyba... Pot uperlił ci białe czoło, ból wykrzywił usta... zatykasz uszy... nie chcesz słyszeć tych jęków. A tymczasem ten głos cienki zrobił się tak samo chrapliwy, jak pierwszy, tylko czasem długą, przenikliwą, wysoką nutę wyrzuci... Nie zatykaj uszu, dziecko! Słyszysz! moskiewskie przekleństwa mieszają się z płaczem, mieszają z rykiem zwierzęcym tego bitego nędzarza... Nie zatykaj uszu, wydziedziczony synu Rzeczypospolitej, synu sławy i wolności! Słuchaj, z pustyń moskiewskich przyszli tu z twarzami wilków, przyszli uczyć nas cnoty, sądzić i karać... Ha, ha! No, roześmiej mi się, pachole! Roześmiej mi się, ale tak, żeby cię Bóg na wysokościach usłyszał! Roześmiej mu się w twarz!

O! wara! Płakać ci nie wolno!

Wanda.

W sprawie nauki o kraju rodzinnym.

(Ciąg dalszy.)

Nie sądzimy, ażeby zachodziła jeszcze potrzeba motywowania konieczności nauki o kraju rodzinnym, jako podstawy wychowania domowego u nas. Przedmiot jej jest względnie nowym, lecz pewne niejasne uczucia i usiłowania w tym kierunku, cechowały naszą pedagogikę od pewnego czasu. W Galicji zresztą i w Poznańskiem zrobiono już sporo dla wprowadzenia tej nauki w życie. U nas zaś nauczanie historji polskiej i geografji z konieczności musiało uwzględniać część materjału, opracowanego przez naukę o kraju. Teraz więc chodzić może nie o nową argumentację na jej korzyść, lecz o udzielenie pewnych wskazówek fachowych, ułatwiających zaprowadzenie rzeczy mało znanej.

Przedewszystkiem więc należy zwrócić uwagę, że nauka o kraju w kursie systematycznym należy do okresu wychowania przedszkolnego. Okres ten trwa zazwyczaj około 4 lat (od 6. do 10.). Pierwsze dwulecie zajmuje — jak wiemy — nauka o rzeczach, język polski i początki matematyki. Nauka o kraju przypada na dwulecie ostatnie. Zdawałoby się, że obowiązkowe zajęcia z języka rosyjskiego stanowią tu przeszkodę. Tak jednak nie jest, ponieważ praktyka pedagogiczna wytworzyła u nas modę t. z. »pogadanki«. Pogadanki owe zajmują sporo czasu w nauczaniu, co zaś jest ich treścią, trudno nawet określić. Poczynając od gier, loteryjek, czytania i opowiadania powiastek, a kończąc na pretensjonalnie prowadzonej »zoologji« i »botanice« wszystko znajduje miejsce w t. z. pogadankach. W najlepszym razie pogadanki, o ile nie są modą, są niewyraźnem poczuciem tego, że nauka oficjalna nie wystarcza dziś, że dziecku należy się coś więcej od nas, niż osławione dyktando i kaligrafja.

Widzieliśmy, że istotnie należy mu się znacznie więcej; wiemy również, co powinno stać się treścią owych pogadanek. Niech czas, udzielany zwykle na nie (około 3 godzin tygodniowo), wypełni nauka o kraju rodzinnym, nie będzie wówczas ani przeładowania, ani, co gorsza, dowolnej pedagogiki o »wszystkiem«, stosowanej dziś w pogadankach na wielką skalę.

Tu jednak należy zrobić zatrzeżenie bardzo ważne w naszych stosunkach. Ukształcenie nasze domowe, jak wiemy, nie rozwija się dziś jeszcze w sposób, zalecony przez pedagogikę. Ogromna ilość dzieci, które obecnie są już w szkole rządowej — nie przechodziła nigdy przez wpływy, o których mowa.

Dalej, łatwo może się zdarzyć, że mimo najszczerszych życzeń rodziny jakiejś, mieszkającej na wsi lub w małem miasteczku — dziecko nie otrzymało początków nauki o kraju rodzinnym. Brak wreszcie odpowiednich środków (map, książek) i nauczycieli na prowincji często staje na przeszkodzie dobrym chęciom. Otóż zachodzi pytanie, co robić w takich wypadkach? Czy mamy prawo pogodzić się biernie z tem, że dziecko nam pójdzie w świat, nie mając tych cennych wiadomości o stosunkach ojczystych? — W takim razie los ten spotkałby bardzo liczną kategorję dzieci, które dziś są w klasach niższych szkół rządowych, i na przyszłość spotkałby często dzieci z prowincji. Zdaje się jednak, że przy dobrej woli, a raczej przy rzetelnem poczuciu obowiązku obywatelskiego ze strony naszych rodziców — złemu zaradzić można. Jakkolwiek bowiem w normalnym biegu nauka o kraju rozpoczynać się winna w okresie przedszkolnym, to jednak nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby prowadzić ją i przez czas niższych klas zakładów naukowych.

Czego nie może dopiąć jedna rodzina, rzucona gdzieś na odległą prowincję, to przyjdzie

z łatwością dla kilku rodzin, posyłających już swe dzieci do szkół w większem mieście. Dla tego też uważamy, że nikt niepowinien wymawiać się niemożnością udzielenia dzieciom wiadomości o kraju rodzinnym. Z chwilą bowiem, kiedy dzieci są oddane do szkoły, zawsze można w mieście znaleźć kogoś, kto tych wiadomości udzieli; w razie zaś braku środków — niech dwie lub trzy rodziny opłacają jednego nauczyciela wspólnie. Przewiduję zarzut, że dzieci, przeciążone nauką szkolną, nie będą miały czasu na nowy przedmiot. Ale w odpowiedzi niech rodzice przypomną sobie, ile to dodatkowych przedmiotów, jak muzyka, konwersacja francuska i t. p. zwalają na głowę dzieci. I niech poczucie obowiązku rozstrzyga, czy dzieci nasze powinny znaleść czas na nabycie wiadomości o kraju rodzinnym?

C. d. n.

URANIA.

(Instytut popularno-naukowy w Berlinie).

—

(Dokończenie).

Uranja jest też ogromnem ułatwieniem dla szkół: zamiast utrzymywania kosztownych, a z konieczności niekompletnych gabinetów fizycznych, nauczyciel w pewne dni przychodzi z uczniami na parę godzin do tej sali i pokazuje im doświadczenia.

Prócz tego, w pewnych godzinach co dnia, odbywają się wykłady popularne w samej sali fizycznej, w których dają się dokładniejsze, niż na kartkach objaśnienia.

Z sali fizycznej przechodzimy do obserwatorjum astronomicznego. Są tu dwie wieżyce, umieszczone na piętrze, z których każda zawiera teleskop. Mniejszy ustawiony był na gwiazdę podwójną Łabędzia, okazując owe słońca, z których jedno czerwone, drugie niebieskie, wyglądały jak dwa drobne punkciki.

Wielki refraktor (kosztujący 60.000 marek), jest urządzony wspaniale. Gdy wchodzimy do wieży jego, znajdujący się przy nim posługacz zamyka łańcuszkiem drzwi i otwiera kran hydrauliczny. Natychmiast podłoga wraz z nami zaczyna się podnosić, doprowadzając oko widza do wysokości szkła ocznego lunety. Jednocześnie gasną światła gazowe wewnątrz wieżyczki i tylko widać słabe połyski elektryczne w mechanizmie, regulującym ruch lunety, która podąża za biegiem nieba. Luneta ta była ustawiona na Saturna, wykazując jego pierścienie. Powietrze jednak, nasiąknięte parą, przy niskiem względnie położeniu planety i silnem powiększeniu (250 razy). powodowało drżenie obrazu. Po skończonej obserwacji, podłoga z widzami wraca na swoje miejsce, światła gazowe zapalają się na nowo i wychodzimy, ażeby ustąpić miejsce przybywającym obserwatorom.

Najwięcej ze wszystkiego interesował mnie w Uranji »teatr naukowy«, i dla niego głównie zwiedziłem powtórnie tę instytucję na drugi dzień.

Teatr Uranji — to audytorjum sprowadzone do maximum popularyzacji, to jest urządzenie, stojące w takim stosunku do wykładu uniwersyteckiego, w jakim popularnie, zajmująco i barwnie napisana książka do poważnego i ociężałego podręcznika. Porównanie to może jeszcze nie jest zbyt ścisłe. Bo przecież i prelekcja jest popularnym a zajmującym wykładem dla ogółu. Ale »teatr naukowy« ma tę własność, że jest w stanie przykuć uwagę nawet takich słuchaczy, którzyby spali na najpopularniejszej prelekcji. Za środek ku temu służy doskonała fantasmagorja, przesuwająca ustawicznie przed okiem słuchacza obrazy tego, o czem słyszy jego ucho. Spotęgowanie uwagi i zajęcia przez to jest ogromne.

Widziałem wytężenie uwagi na twarzach moich sąsiadów podczas przedstawienia, wyraz zachwytu i odpowiednie wykrzykniki po jego skończeniu.

Teatr Uranji jest urządzony jak zwykły niewielki teatrzyk: są miejsca parterowe i amfiteatr; wejście do teatru opłaca się osobno, najniższa opłata wynosi 1 markę, w co wlicza się i 50 fenigów wchodowych.

Przed sceną znajduje się pulpit; miejsce to zajmuje prelegent — oczywiście nie jest nim żadna znakomitość, powtarza on tylko dobrze napisany i starannie wyuczony wykład. Ale gdyby nie to, że gdzieniegdzie, zapalając się, mówił zbyt prędko, nie byłoby wiele do zarzucenia tej metodzie.

Afisz zapowiadał »Podróż do Ameryki«. Po krótkim wstępie prelegent przycisnął guzik; w sali zrobiło się ciemno zupełnie; tylko maleńki płomyczek gazowy, ukryty gdzieś w pulpicie, oświetla biały gors koszuli prelegenta, rzucając mu tyle światła, aby mógł wyczytać swoje notatki. W tejże chwili podnosi się zasłona i ukazuje się port bremeński i parowiec, który ma odbywać ową podróż.

Podczas gdy lektor opowiada różne szczegóły, dotyczące parowców, kursujących po Atlantyku, na scenie robi się coraz ciemniej, na masztach zapalają się światła, w dali okazuje się ogień latarni morskiej.

Obraz zmienia się, widzimy okręt, płynący po morzu i kołyszący się na falach; zrywa się burza, chmury kłębami przelatują po niebie, morze się pieni, robi się zupełnie ciemno — gdzieniegdzie tylko błękit nieba połyskuje między przelatującemi szybko chmurami. Ale oto przeleciała burza; statek wchodzi do Lamanche'u. Tymczasem zapada zmrok, a razem z nim i mgła gęsta, zasłaniająca wszystko. Lektor opowiada o niebezpieczeństwach grożącego spotkania się statków, a tu wśród gęstej mgły dają się słyszeć co

chwila gwizdawki przelatujących statków, migają blade ich latarki. Ale oto jakiś żaglowiec trójmasztowy wynurza się z mgły, i jak blade widmo, pędzi cicho na nasz statek. Szczęściem zielone światło ukazuje kierunek żaglowca: okręt nasz robi bystry obrót sterem i cień trójmasztowca oddala się, topniejąc we mgle. Tymczasem świta i mgła znika. Dobijamy do jakichś wysp; urocze ustronie odsłania się przed widzem... Albo znowu mijamy jakieś niebezpieczne skały. Wreszcie jesteśmy na oceanie; monotonność podróży urozmaicają długie gawędy przy stole, a po obiedzie spacery na pokładzie. Widzimy salę jadalną ze starym kapitanem, prezydującym u stołu, to znów pokład i grona pasażerów, spacerujących po nim. Wreszcie ukazuje się port Brooklyn'u; widzimy posąg Wolności i olbrzymi most, łączący przedmieście z Nowym-Jorkiem. Parowce przybiegają na spotkanie naszego, mijamy szereg statków, nareszcie muzyka wita nasz statek.

Dalej przesuwa się przed nami ulica Nowego-Jorku z jej ruchem, szumne targowisko; oto wsiadamy do wygodnego wagonu i pędzimy koleją, a przez okna jego widzimy przesuwające się lasy, góry, rzeki, osady; noc zapada i wschodzący księżyc odsłania zupełnie odmienny, fantastyczny krajobraz. Nareszcie ukazuje się obszerna przestrzeń wodna pięciu jezior; już słychać szum Niagary; oto ukazuje się z daleka wodospad. Teraz jesteśmy u samej Podkowy. Ogromna masa wody z szumem toczy się w przepaść, a kłęby kurzu wodnego wzbijają się ku obłokom.

Podczas gdy wszystkie te obrazy przesuwają się przed okiem widza, głos lektora tłómaczy mu różne szczegóły podróży, zjawiska przyrodnicze, dane geograficzne, podaje wiadomości statystyczne i t. d.

Przez krótki czas mego pobytu w Berlinie dawano wciąż tylko podróż do Ameryki. Łatwo jednak wystawić sobie, jak teatr taki może być zastosowany do ściślej naukowych przedmiotów. Wszystko, co należy do przyrodoznawstwa opisowego, stanowić może przedmiot wdzięcznych i pouczających przedstawień; kataklizmy geologiczne, obrazy z przeszłości kuli ziemskiej — świat zwierzęcy i roślinny w rozmaitych okresach geologicznych, wybuchy wulkanów, praca morza, świat drobnowidzowych istot, zjawiska astronomiczne, krajobrazy planet, budowa słońca — wszystko to — w odpowiedni sposób dobrane i ugrupowane — może służyć do popularyzacji wiedzy nawet wśród najmniej przyzwyczajonych do natężania uwagi i najmniej przygotowanych słuchaczy.

Tajemnice przyrody odsłaniają się tu w szatach tak wdzięcznych i skromnych oku widza, jak owa groźna Uranja, która opaską piękna okrywa swoje straszliwe oblicze...

Co w pięknych dźwiękach tu przebrzmiało,
Gdzieś blaskiem prawdy olśni nas!

Rozbiory i sprawozdania.

Lietuviszkai-latviszkai-lenkiszkai-rusiszkas Žodynas Kun. M. Miežinio. — Leišu-latviešu-půłukriewu vārdnica nů Miežińa. — Litewsko-łotewsko-polsko-rossyski (!) słównik Ks. Miežinisa. — Литовско-Латышско-Польско-Русскій Словарь М. Межиниса. — Tilžeje. Spausdinta kasztais M. Noveskio. 1894. (W Tylży. Drukowane kosztem M. Noweskiego). — 8vo. Stronic IV + 292.

Tytuł wydrukowano we wszystkich czterech uwzględnionych w samym słowniku językach, przedmowę zaś tylko po litewsku.

Z przedmowy dowiadujemy się, że jeszcze na początku r. 1883 był gotów rękopism tego słownika. Pisała o tem »Auszra« (Nr. 2), nazywając autora »Kunigas« (ksiądz) »M. Miežutaviczius«. Nie drukowano zaś tak długo, bo czekano pozwolenia na drukowanie w Rosji książek litewskich literami łacińskiemi, gdyż, jak powiada przedmowa, »książek, drukowanych literami rosyjskiemi, nikt nie potrzebuje«. Nie doczekawszy się podobnego pozwolenia, przystąpiono do druku w Niemczech i wydano ten słownik, dzięki pomocy mieszkających w Petersburgu »miłośników piśmiennictwa i języka łotewsko-litewskiego« (dokładniej może: łotewskiego i litewskiego). Korektę tego słownika prowadzili petersburszczanie dopiero od 11-go arkusza, arkusze zaś 1—10 wydrukowano »według rękopismu«, a pierwszy arkusz musiano nawet przedrukować.

Wydawca (? autor) spodziewa się, że czytelnik przebaczy mu, znalazłszy jaką omyłkę, a to dlatego, że nie można było prowadzić należycie korekty z powodu »odległości wydawcy od miejsca prowadzenia korekty«, a powtóre że jestto pierwszy słownik czterojęzyczny.

Co do tego ostatniego, to autor przedmowy ma słuszność tylko w takim razie, jeżeli ma na myśli uwzględnione w jego słowniku języki. Istotnie bowiem jest to pierwszy słownik litewsko-łotewsko-polsko-rosyjski. Ale cztero-językowe słowniki innych języków nie są wcale nowością. Wychodziły one i dawniej i w naszych czasach. Z bardziej znanych mogę wskazać na »parallelne słowniki« F. Reiffa, w których zestawiono języki: rosyjski, francuski, niemiecki i angielski.

Wydawca oczekuje od krytyki wskazania błędów słownika, a wtedy albo będzie można przygotować drugie, poprawne wydanie, albo też przynajmniej posłuży on za podstawę do ułożenia nowego słownika.

Czyniąc zadość temu wezwaniu do krytyki, przypatrzmy się nieco bliżej słownikowi księdza Miežinisa. Rzecz prosta, nie możemy się tu wdawać w dokładny i szczegółowy rozbiór, ale sprobujmy choć z lekka sprawdzić, na ile książka ta odpowiada sprawiedliwym wymaganiom.

Weźmy na chybił trafił str. 68—69 i porównajmy nasz słownik z najlepszym dotychczas słownikiem litewskim (litewsko-niemieckim) F. Kurszata (Kurschat). Otóż okazuje się, że u ks. Miežinisa brak *geris* (napój, wyraz dla Kurszata niepewny), *germuole* (marchew), *gernoris* (życzliwy, — niepewne), *gersze* (czapla), *gerube* (jarząbek), *gerus* (radość, upodobanie, — niepewne), *gerunas* (człowiek żądny rozrywek), *gerwele* (drzewko przy żarnach), *gerwinas* (żóraw, samiec), *gerwuoge* (żórawina), *gerwzole* (pewien gatunek trawy), *gesyti gesau* (gasić),

gesme (mały ogień), *getis* (pastwisko, — wyraz niepewny), *getra* (namiot, — niepewne), *géwelis* (szczyt dachu), *-gi* (że, zaś), *gydinti* (leczyć), *giedotinis* (przeznaczony do śpiewu), *giedras* (jasny, pogodny), *gi drawalkis* (katarakta w oku), *giedrinti* (robić pogodnym), *giedrokas* (dość pogodny), *giela* (krwotok, biegunka), *giesminis* (do śpiewu się odnoszący), *gieszti* (świerzbieć, swędzić), *giglawoti* (podlizywać się, nadskakiwać), *gyla* (gwałtowny ból), *gyle* (głębia), *gile* (żołądź, owoc), *gylys* (żądł)o, *gylióti* (często kłóć), *giliuoti* (popłacać, mieć znaczenie), *gilókas* (dosyć głęboki), *gilpti* (przychodzić do zdrowia), *gilti* (zaboleć gwałtownie i nagle), *gilwersme* (otchłań), *gimdytinis* (płodny), *gimdytowe* (rodzicielka, matka), *gimdyste* (urodzenie), *gimyna* (gmina), razem 41 wyrazów. Natomiast u Kurszata nie spotykamy następujących wyrazów, umieszczonych w słowniku Mieżinisa; *gerbeias* (ubieracz, szatny), *gerbimas* (ubieranie), *gerbties* (ubierać się), *gēret* (poprawiać się), *geriamas* (zdatny do picia), *gerklys* (gębacz, krzykacz), *gerklinis* (gardłowy), *geruoksztis* (ząb boczny), *gerumas* (dobroć), *gerutis* (dobruchny), *gervenios gervios* (jeżyna?, klukwa), *gervinis* (żórawi), *gesimas* (gaśnienie?), *gesinimas* (gaszenie), *gesykle* (gasidło, narzędzie do gaszenia), *gežti* (czuć pomstę, knować pomstę), *gialeže* (nóż z żelaznym trzonkiem), *gibti* (mdleć, omdlewać), *gydantis* (leczniczy, gojący), *gydalas, gydyklas* (lek, lekarstwo), *gydimas, gydinejimas* (leczenie), *giebti* (umieć, pojmować), *giedrus* (pogodny, jasny), *giesminyczia* (śpiewalnia, chór), *giesminikiszkas* (śpiewacki), *giesna* (zmierzch, zmrok wieczorny), *gijimas* (gojenie się), *gildinti* = *dilginti* (parzyć pokrzywą), *gilei* (głęboko), *gilesnis* (głębszy), *giliau, giliaus* (głębiej), *gilinti* (głębić, pogłębiać), *gilinis* (żołędny), *gilys, gylys* (żołądź), *gilna* (kwiczoł? żołno), *giliuoti* (wściekać się, złościć się), *gimdymas* (rodzenie), *gimdytojinis* (rodzicielski), *gimdytojas* (rodzic), *gimimas* (pochodzenie), *giminaitis* (familjant, krewniak), *gimine* (ród, rodzina), *giminėties* (krewnić się)...., razem 43 wyrazy. Tak więc liczebnie jedno drugiem się kompensuje, chociaż ze względu, że słownik Kurszata wyszedł daleko wcześniej, bo w r. 1883, można było się spodziewać, że ks. Mieżinis nie będzie go ignorował. Niektóre z wyrazów Kurszata, jako rzadkie, a może dziś nawet już nieużywane, mogły były nie przechodzić do słownika Mieżinisa, jako do słownika praktycznego i podręcznego; niektóre z nich jednak powinny wzbogacić zasób wszelkiego słownika litewskiego.

Jak częste są braki w słowniku Mieżinisa, najlepszym dowodem, że ktoby chciał czytać i rozumieć przedmowę wydawcy z pomocą tego słownika, nie znalazłby w nim następujących wyrazów przedmowy: *keltas* (arkusz), *spauda* (druk, drukowanie), *raszyba* (piśmiennictwo), *gi* (zaś), *iszduotojas* (wydawca), *klaida* (omyłka), *stoka* (błąd), *pertaisyti* (poprawić), *bėlis* (zapewne »szkoda«); a więc do tekstu, zajmującego ¾ stronicy, brak przynajmniej dziewięciu wyrazów. Należało także umieścić w słowniku wyraz *korrektura*, jeżeli umieszczono takie, jak *kritika* (krytyka), *okademija, akademija* (akademja) i t. p. Że *Petropylis* znaczy *Petersburg*, domyślić się wprawdzie łatwo, ale nie każdy się domyśli. Ażeby się domyślać, potrzeba już znać język, a tymczasem, jak mi się zdaje, słownik ks. Mieżinisa ma na względzie głównie ludzi, chcących z pomocą podręcznego słownika zrozumieć treść tekstu litewskiego, chociażby nawet z samym językiem litewskim byli bardzo mało zaznajomieni.

To chyba jest główny cel słownika; bo cel odwrotny, t. j. umożliwienie Litwinom mówienia i pisania po łotewsku, po polsku i po rosyjsku, jeszcze daleko trudniej dałby się osiągnąć, tem bardziej, że wyrazy, użyte do przekładu, nie zawsze są szczęśliwie dobrane. Do nich należą np. polskie »gębał, gębacz, garlacz« zam. »gaduła, krzykacz« (pod wyrazem *gerklys*), albo »krupki« jako polskie znaczenie litewskiego *stiprus* (krzepki, mocny).

Przeciwko praktyczności słowniczek nasz grzeszy jeszcze następującemi słabemi stronami:

1) Nie zawsze pilnuje się ściśle porządku alfabetycznego. Tak np. *gerve* stoi po *gervenios*, *prakalas* po *prakalbeti*, *vesti* po *vesumas*, *vesus*...., *žodynas*, *žodingas* po *žodis*... Niedokładności te spostrzegłem przy przelotnem przeglądaniu niektórych tylko stronnic słownika; można więc przypuszczać, że ich jest wogóle spora kupka.

2) Pod niektóremi wyrazami przytacza autor całe zdania i przysłowia litewskie; ponieważ ich jednak nie tłumaczy, więc niewielką przez to wyświadcza usługę czytelnikowi.

3) Trudno wprawdzie, żeby słownik był zarazem inwentarzem form gramatycznych; ale pewne formy należałoby uwzględnić nawet w słowniczku kieszonkowym. Tak np. z samego tylko bezokolicznika (I n f i n i t i v u s) nie zawsze można się domyślić, jak brzmią inne, najzwyczajniejsze formy danego słowa.

4) W praktycznym słowniku trudno się bawić w nazbyt dokładne, naukowe oddawanie dźwięków danego języka. Ale pewna dokładność i konsekwencja wcale by nie zawadziły. Wymawiania litewskiego żadna pisownia nie nauczy, ale autor słownika obowiązany jest dać przynajmniej pewne wskazówki. Dla czego np nie rozróżniono »twardego« *ł* i »miękkiego« *l*, chociaż większość Litwinów rozróżnia to nie mniej dokładnie, niż Polacy i Rusini? Dlaczego nie wskazano, która zgłoska jest akcentowaną? Dlaczego właściwe językowi litewskiem rozróżnianie długich i krótkich samogłosek znalazło wyraz jedynie w rozróżnianiu *i* (krótkiego *i*) i *y* (długiego *i*), oraz w odróżnieniu *ė* od innych *e*?

Spora ilość błędów drukarskich szpeci rozbierany słownik; ale z tego usprawiedliwia się wydawca w przedmowie.

W każdym razie słownik ks Mieżinisa jest najlepszym w swoim rodzaju, już choćby dla tego, że jest dotychczas jedynym; ja przynajmniej nie znam innego podręcznego słownika języka litewskiego, zwłaszcza opatrzonego przekładem aż na trzy inne języki. Ale nawet w porównaniu z podręcznemi i kieszonkowemi słownikami wielu innych języków, których sporą ilość puszczają w świat firmy lipskie, słownik ten chlubnie się wyróżnia. Co do mnie, to chciałbym go tymczasem uważać tylko za wydrukowany jako rękopism, a więc za zasługujący na wszelką względność i pobłażanie. Miejmy nadzieję, że drugie wydanie odpowie lepiej słusznym wymaganiom krytyki.

Kraków, 30 lipca 1894.

J. B. de C.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.